№ 48. Warszawa, dnia 14 (26) Listopada 1887 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POGADANKA

o wypadkach jakie mogą sprowadzić zagładę globu ziemskiego.

STREŚCIŁA

Ludwika Życka,

(według Kosmogonii Richarda i Końca świata Majewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

VI.

Jednem z niebezpieczeństw grożących ziemi w oddalonej przyszłości jest znowu *spotkanie się jej z kometą.*

Komety uformowały się z obłoczków materyi kosmicznej, tułających się w przestrzeni międzygwiazdowej. Obłoczki takie zrazu bezkształtne strzępki gazowe, zgęszczają się, błądzą w różnych kierunkach, dopóki się nie zbliżą do jakiej gwiazdy o tyle, że ulegną jej przyciąganiu.

Słońce nasze ściąga z całej sfery nad jaką panuje, wszystkie wpadłe do niej obłoczki kometowe. Jeżeli one w biegu swoim zbliżą się do jakiejkolwiek planety, masa jej może przyciągnąć te komety. Jako ciała niezmiernie lekkie, mogą one być przyciągane przez wszystkie ciała napotkane, dlatego biegu komet obrachować trudno.

Są niektóre komety które ukazują się w oczach naszych w równych odstępach czasu i dziwaczne ich drogi są mniej więcej zbadane, gdyż astronomowie znają ciała niebieskie między jakiemi one muszą przebiegać.

Jedną z komet grożących ziemi jest tak zwana kometa *Biela.*

Była już ona w 1826 roku bardzo blizko drogi ziemskiej, ukazywała się potem jeszcze bliżej w roku 1832. Kiedyś może się zetknąć z ziemią i katastrofa będzie nieunikniona. Jest jeszcze druga kometa zwana kometą *Enckiego,* która także krąży w sąsiedztwie i może spotkać się z kometą Biela i wtedy będziemy mieli rzadkie i świetne widowisko, uderzenia o siebie dwóch komet. Krzywda jaką nam może wyrządzić kometa, może być rozmaitą.

Jeżeli jądro jej składałoby się z gazów trujących, mogłyby one w znacznym stopniu zmienić atmosferę, którą oddychamy i przenikając aż do nas, mogłyby sprowadzić znaczne zaburzenia w naszych organizmach.

Gdyby w ciele komety unosiły się części stałe w formie ułamków ciał mniej więcej ciężkich, rozpalonych w skutek biegu niezmiernie szybkiego, uderzenie tego rodzaju o powierzchnię ziemi wywołałoby katastrofę, tem więcej, że nastąpiłoby niezmiernie wielkie wyładowanie elektryczności. Nie bez przyczyny więc średnie wieki, uważały komety jako zapowiedź katastrof, tylko że przesądni ludzie wnoszą z ich ukazania się o śmierci królów, lub sławnych jednostek, albo o wojnach i głodach, a one tymczasem kiedyś w przyszłości, mogą się stać powodem końca naszego świata.

VII.

Wulkany, gejzery i tysiące innych faktów, dowiodło nam, że wnętrze ziemi kryje niewygasłe ciepło. Jeżeliby kto mógł dokopać się do 10-ciu mil w głąb, to znalazłby tam temperaturę 2,500 stopni, to jest żar wystarczający do utrzymania w stanie płynnym wszystkich pierwiastków ziemskich. Wiadomo to ztąd, że na każde 27 metrów głębokości przybywa jeden stopień ciepła. Według tego wyliczenia w samym środku ziemi musi być temperatura 200,000 stopni, zatem wszystkie pierwiastki ziemskie powinnyby tam być w stanie gazowym. Pozostają one jednak płynne, gdyż ciśnienie siły ciążenia i skorupy ziemskiej,

nie pozwala im rozrzedniéć. Skoroby to ciśnienie znikło, natychmiast ognisty płyn przeszedłby w gazy, gdyż prężność jego jest bardzo silną.

Na takiej to elastyczności gazów, polega użyteczność rozmaitych materyi wybuchowych, w których szutcznie utworzona mieszanina materyi, związana powinowactwem chemicznem utrzymuje się w postaci prochu, dynamitu i nitrogliceryny.

Skoro jednak jakiś zewnętrzny bodziec naruszy w tej masie równowagę atomów, gdy zerwie raz związek chemiczny, natychmiast cząsteczki tego ciała, jedne za drugą budzą się jakby z odrętwienia, poczynają z błyskawiczną szybkością odrywać się od całej masy i w jednej chwili drobna bryłka materyi wybuchowej, przyjmuje ogromną objętość gazu z jakiego zgęszczoną została, tysiąc razy większą od objętości poprzedniej.

Ciało to dąży do tego stanu z ogromną szybkością co nazywamy siłą wybuchową.

Siła ta rozpryskuje skały, niesie kulę na przestrzeń kilku wiorst, a huk jaki ztąd powstaje, pochodzi od uderzenia się gazu o powietrze i otaczające przedmioty.

Podobna rzecz może miéć miejsce z gazami zawartemi wewnątrz ziemi, bo siła prężności ich przewyższa o wiele siłę wybuchową nitrogliceryny i innych znanych nam materyi. Stan spokoju w jakim gazy te zostają obecnie, może trwać bardzo długo, ale tylko dopóty, dopóki siła ciążenia nie zostanie zrównoważoną przez działanie jakiej nowej, przypadkowej siły.

Gdyby np. siła ciążenia znikła nagle, wtedy cała olbrzymia ilość gazu ziemskiego powrócićby musiała gwałtownie do pierwotnego stanu, całe jądro ziemskie przemieniłoby się nagle w wybuchową materyę i roztrzaskałoby skorupę ziemską. Kula ziemska jest zatem dynamitem napełnioną bombą ale zarazem posiadającą ogromną siłę rzutu, broniącą ją od napaści przypadkowych sił zewnętrznych.

Kiedyś jednak możemy się spodziewać i z tej strony, końca naszego świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOC ZADUSZEK.

Przełożyła z angielskiego

M. St.

(Dalszy ciąg.)

Mizi ani przez myśl nie przeszło, że za oknem wśród wichru i ciemności, stał ktoś już przeszło godzinę bez ruchu i patrzył w nią jak w obraz. Nie czuł znużenia ani zimna, bo serce mu palił ogień zazdrości; ciemne oczy wlepił w pobladłą twarzyczkę żony, a gdy dojrzał łzy w jej oczach, zadrżał jak listek osiki.

— Myśli pewnie o Steensonie — szepnął. A w kilka minut później, jakby dokończając swej myśli dodał. — Biedna dziewczyna!

Następnie Cosby, gdyż to był on, ostrożnie przeszedł podwórze i udał się do niewielkiej pustej izdebki, znajdującej się obok stajni. Było tam jedynie stare biurko z rachunkami gospodarskiemi i jedno krzesło. Jan zapalił łojówkę oprawioną w najprościejszym lichtarzyku i zaczął nakładać fajkę.

W tym to nędznym pokoiku spędzał wieczory, podczas gdy Mizia sądziła, że gawędzi wesoło z sąsiadami pod „Ciekawą Gęsią", w pokoju jasnym, ciepłym, wśród dymu tytuniowego, zapachu piwa i różnych napojów. Ale biedny Jan nadto był smutny, aby szukać towarzystwa.

— Odgadliby co się u nas dzieje, a ja nie chcę aby o mnie mówili sąsiedzi — powiedział sobie w duszy i zamknął się w sobie.

Tam w obszernym jego domu Mizia siedziała samotnie, płacząc, tu młody dzierżawca z sercem pełnem goryczy i cieżką chmurą na czole siedział w ponurej zadumie.

— Dłużej tego znieść nie mogę, niepodobna cierpiéć dłużej — wyszeptał w końcu.

Wstał i zdjął z kołka wiszącą nad biurkiem starą fuzyę, z której zwykle strzelał jastrzębie i wrony.

— Nie na wiele mi się przydajesz stara moja przyjaciołko, a jednak mogłabyś mi wyświadczyć jedną wielką przysługę — rzekł — a pomimo formy żartu ciężki smutek brzmiał w jego słowach. Jednocześnie zaczął uważnie i starannie nabijać broń.

— Kula i proch, sprawią się jak należy—rzekł z gorzkim uśmiechem, który okropnie wykrzywił ponurą twarz Jana.

— Ale dziś to jeszcze nie nastąpi—dodał machnąwszy ręką. — Przed zimą trzeba jeszcze sprzedać wypasiony inwentarz, gdyż Mizia nędznieby go sprzedała, ona się na tem nie zna wcale, musi więc trochę jeszcze poczekać, biedna dziewczyna.

Późno już było. Jan spojrzał na zegarek; brakowało kwadrans do dwunastej.

W tej chwili przypomniał mu się przesąd ludowy, przywiązany do tego dnia i tej godziny. Może być, że umrę w tym roku, pomyślał Cosby. I zimny dreszcz wstrząsnął silnem ciałem młodego człowieka, gdyż przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie umrze z własnej ręki. Zadumał się głęboko.

W tym samym prawie czasie duży zegar ścienny wydzwonił w kuchni w pół do dwunastej. Mizia drgnęła i wystraszonem okiem powiodła dokoła. Stała się tak nerwową, że każdy niespodziewany dźwięk ją przerażał.

— Mam jeszcze pół godziny czasu, muszę tam pójść — szepnęła do siebie. Gorączkowo zarzuciła na głowę duży, ciemny szal, zagasiła ogień i zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, zaczęła biedz wśród ciemnej, słotnej nocy.

Lud utrzymuje, że kto się odważy w dzień Zaduszny stanąć o północy u drzwi kościoła, zobaczy widma tych ludzi, którzy w przeciągu roku umrą w tej parafii. Wtedy cały ich korowód ciągnie przez cmentarz prosto do drzwi kościoła.

Mizia drżała na myśl o tym strasznym widoku, ale tak była zdesperowana swojem obecnem położeniem, że postanowiła przekonać się o swym losie.

— Pewnie ujrzę własny mój cień, gdyż w podobny sposób nie przeżyję całego roku. Wolałabym umrzéć sto razy — zawołała gwałtownie wśród ciszy nocnej. Młoda jej główka wyobrażała sobie śmierć jako najwłaściwszy koniec jej trosk i cierpień. — Me serce złamane — mówiła wśród łkania — może Bóg da że umrę. — Deszcz zmoczył ją do nitki; wicher i ciemność przerażały ją.

Droga stanowiła rodzaj wąwozu, po obydwóch jej stronach wysokie brzegi gliniaste, porosłe były szkockiemi sosnami, których gałęzie miotane wiatrem jęczały smutno po nad głową biegnącej Mizi. Ciemne ich konary trzeszczały przeraźliwie, powiewając na wietrze jak żałobne zasłony pogrzebowego orszaku.

Gdy dobiegła do kruchty kościelnej, Mizia nie mogła tchu złapać. Krew zastygła jej w żyłach, serce biło gwałtownie.

— Gorzej będzie iść napowrót — rzekła do siebie, drżąc na całem ciele. — Tutaj, jak lu zie mówią, przejdą tylko, a na drodze może mnie spotkają.

Nagle dźwięk jakiś zabrzmiał jej nad głową! Mizia przerażona wcisnęła się w sam kąt kruchty. Było to pierwsze uderzenie starego kościelnego zegara, który z wysokości swej wieży wydzwaniał północ.

Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, grobowa cisza zaległa dokoła. Nikt się nie zjawił, w ciemmności słychać było jedynie wycie wichru i szum drzew. Mizia uczuła niewysłowioną ulgę w sercu. Nikt nie umrze tego roku; to dziwne doprawdy! Ale jak to dobrze! szepnęła mimowoli powodowana uczuciem wdzięczności.

Już miała wracać do domu, gdy Boże ratuj! Co to za czarny cień nadchodzi? Sunie bez szelestu przez cmentarz prosto ku kruchcie kościelnej.

Mizia czuje, że kolana pod nią się uginają; krew lodem ścina się jej w żyłach. Chce uciekać, nie może kroku naprzód postąpić, widmo idzie prosto ku niej. Przystanęło.

Jakieś światełko błysnęło w tej chwili, nie wiedzieć zkąd, lecz przy jego blasku Mizia na pół umarła z przestrachu ujrzała postać swego męża, wyraźnie postać Jana Cosby! Ale tak strasznie wyglądał jak go jeszcze nigdy nie widziała. Twarz miał sino bladą, oczy utkwił w nią z dziwnym wyrazem, a usta wpół otwarte miały wyraz strasznej boleści, której nieszczęśliwy nie mógł jednak wyjawić.

Patrzyła na niego może przez trzy sekundy, dopóki światło nie zgasło. Potem w ciemności widziała jeszcze szeroko rozwartemi oczami, jak widmo słaniało się po cmentarzu, widocznie szukając dla siebie miejsca wiecznego spoczynku.

Wreszcie zniknęło! Mizia nie wiedząc co się z nią dzieje, dowlokła się do bramy cmentarnej. Tam strach dodał jej siły, zaczęła biedz do domu, jakby ją goniła gromada złych duchów. Nie wiedziała nawet kiedy stanęła przed domem, przemokła do nitki, szczękając zębami z zimna.

Przez całą noc młoda kobieta rzucała się w gorączce, a gdy na chwilkę zasnęła, widziała we śnie szkielety, trupie czaszki i straszne widma.

Gdy się rozwidniło wstała, ale tak blada i z takim bólem głowy, że sama wyglądała jak cień. Z trudnością przygotowywała mężowi śniadanie.

Jan spojrzał na nią bacznie, teraz wogóle rzadko kiedy patrzył na żonę.

— Czy jesteś chora? — spytał krótko.

Mizia dotknęła ręką ciężko bolejącej głowy.

— Nie wiem co mi jest. Czuję się dziwnie słabą — szepnęła.

Jan ani jednem słowem nie okazał jej współczucia, ale wyszedł i poszukał starej Ewy, która właśnie poiła cielęta w oborze. Za chwilę weszła do kuchni i rzekła do młodej pani.

— Jan Cosby powiedział, aby się pani położyła, a ja zajmę się domem. Pani bardzo źle wygląda.

Mizia jakby we śnie usłyszała te wyrazy starej kobiety, chciała wyjść z kuchni, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ledwie przy pomocy Ewy doszła do łóżka, z trudnością się rozebrała i położyła. Przeleżała na niem wiele dni i nocy, podczas których ciało jej dręczył niejeden srogi ból fizyczny, a umysł niepokoiły okropne mary i widziadła.

Gdy chwilami odzyskiwała przytomność, cierpiała tak strasznie, iż zdawało się, że skona; nie chciała teraz umierać. Na progu śmierci poznała wartość życia.

Jakże to dziwnie się stało, na cmentarzu widziała widmo Jana, a tymczasem sama śmiertelnie zachorowała! Czyżby to znaczyło, że ponieważ mąż i żona stanowią jedno ciało, więc ujrzawszy widmo męża, ona miała umrzeć?

Na tę myśl zadrżała; zebrała wszystkie siły i zawołała rozpaczliwie:

— Ja nie chcę umierać! Jeszcze nie teraz, nie teraz! Wcale nie jestem gotowa na śmierć.

I gęsta mgła znów zaciemniła jej umysł. Ten krzyk rozpaczy boleśnie wstrząsnął sercem tych co nad nią czuwali.

Troskliwa matka Mizi pielęgnowała ją prawdziwie po macierzyńsku, nie odstępując ani krokiem od jej łóżka, Ewa gospodarowała jak za kawalerskich czasów Jana, który uprosiwszy zmęczoną teściowę, aby się położyła, sam najczęściej wśród ciszy nocnej słuchał ze ściśniętem sercem majaczeń żony o cmentarzach i grobach. Jan cały dzień prawie był po za domem zajęty gospodarstwem, niemniej całą noc nie odstępował łóżka żony, choć okropnie było słuchać majaczeń biedaczki. Przespał się ledwie godzinę lub dwie i znów szedł do pracy.

Ten silny, poważnej powierzchowności mężczyzna, tak delikatnie i ostrożnie obchodził się z chorą, jak najtroskliwsza siostra miłosierdzia. Często gdy Mizia nieprzytomna w żaden sposób nie chciała przyjąć lekarstwa, on jeden umiał ją do tego zachęcić, z jego ręki jedynie przyjmowała także po kilka łyżeczek wzmacniającego pokarmu, który doktor koniecznie zalecił dla pokrzepiania osłabionego jej organizmu.

W końcu minęły ciężkie i długie dni niebezpieczeństwa, młodość i troskliwa opieka zwyciężyły chorobę. Mizia powoli zaczęła przychodzić do zdrowia.

Wtedy Jan znów starał się jak najmniej nawijać jej na oczy. Ale ona dobrze słyszała jak matka jej mówiła do starej Ewy, że Jan rzadkim był mężem: że jego tylko pieczołowitości i staraniu Mizia zawdzięcza życie! Chora słysząc to, nie wierzyła własnym uszom, ale była jeszcze nadto osłabiona aby mogła zastanowić się nad tem.

Gdy wstała z łóżka, męża już prawie wcale nie widywała, powierzył ją opiece matki a sam gorliwiej niż kiedykolwiek zajął się gospodarstwem. Nagle, w samym początku Lutego, Jan zadziwił wszystkich. Wyjechał na cały miesiąc do Edynburga i Londynu. Przez ten czas jedna z siostr Mizi pielęgnowała rekonwalescentkę.

Jan powrócił w pierwszej połowie Marca, gdy już Mizia objęła powoli swe obowiązki gospodyni domu, a korzystając z wczesnej wiosny, zaczęła nawet wychodzić na powietrze. Na powitanie Jan zawsze posępny spytał ją: Jak się miewasz? Lepiej? To dobrze!

Nie rzekł ani słowa więcej i serdeczne wyrazy, jakiemi Mizia powitać go chciała, zamarły jej na ustach.

Biedaczka bardzo była wdzięczną mężowi, że jej ocalił życie. Jednak spojrzawszy na chmurne jego oblicze, zawsze go się obawiała; w czasie nieobecności męża wciąż myślała o jego dobroci w ciągu długiej jej choroby i serdecznie pragnęła podziękować mu za nią.

— Ojciec mówił prawdę. Jan jest bardzo dobry; ale okropnie milczący i poważny! — rzekła do siebie z westchnieniem.

Stara Ewa powitała swego pana wymówką:

— Dobrze, panie Cosby, czy pan zadowolony ze swej podróży? Ciekawam jak znajdzie gospodarstwo pozostawione tak długo bez pańskiego oka.

Mówiła to takim głosem jakby biedny Jan był pierwszym marnotrawcą, on który przedtem niedłużej jak tydzień opuścił gospodarstwo i to się rzadko zdarzało.

— Już teraz nigdzie nie pojadę, Ewo—odrzekł Jan, głosem który się wydał bacznie słuchającej go Mizi złowrogo ponurym. — Ale cieszy mnie to, że odbyłem tę podróż; musiałem przecież choć raz przed śmiercią zobaczyć Londyn!

Mizia zadrżała. O, biedny Jan! Czyżby przeczuwał co go miało spotkać w tym roku? Bo ponieważ ona nie umarła, on więc umrze niezawodnie!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Alojzemu Żółkowskiemu,

na pamiątkę jego 55-letniego Jubileuszu.

Gienjuszu sztuki! co blaskiem talentu,
Świecisz bez przerwy na ojczystej glebie,
I myśli nasze, ze smutków odmętu,
Stawiasz na złudnem upojenia niebie...
Co krzewicielem stawszy się dla sceny,
Jak tryumfator, szerzysz piękna szranki!...
I z teatralnej nie schodząc areny,
Przeszło pół wieku siejesz niespodzianki...
Niech ci cześć będzie!... za te chwile błogie,
Jakich tak hojnie udzielasz Warszawie;
One jej kwieciem uścielają drogę,
I życiem dla niej, stały się już prawie...

Czemuż nie możem te dźwięki nadobne,
Co przy grze twojej, nieraz w duszy grały...
Złożyć w akordy tak dźwięczne i zgodne,
Jak zgodne budzisz uwielbień zapały?...
Albo wyśpiewać, ile to w pochodzie,
Gdy cię na mistrza sztuki pasowano,
Mieści się wspomnień niestartych w narodzie!
Co w zasłużone ubrały cię wiano?...

Ale dla ciebie nie tryumfów trzeba!...
Kapłaństwo ducha, z siebie chwałę bierze!..
Więc za daninę duchowego chleba,
Serca i dzięki... niesiem ci w ofierze.
A serc tych wiele... bo trzy pokolenia,
Twojej zasługi, dzisiaj głoszą dzieje,
I jednomyślne niesiem ci życzenia,
By *Ten!...* co losów wymierza koleje;
Do czary hołdów! uwielbień! wdzięczności!...
Jaką rodaków podają ci dłonie...
Tyle dolewał pociech i radości,
Ile ich dajesz... w bratniem żyjąc gronie.

W dowód szacunku i uznania

R. Ratyńska.

FACYENDA ŁEB NA ŁEB.

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI NIEODLEGŁEJ.)

PRZEZ

Aleksandra Półkozica.

(Dalszy ciąg.)

W kilka dni po owej trylogii spełnionej w szpalerze bykowieckiego ogrodu, pan Piotr Radobryński, wprowadził się do dworu osieroconego przez rodzinę Bujalskich.

Kto był ten Radobryński i jaki powód skłonił go do wyrzeczenia się spokojnego, systematycznego życia, jaki prowadził w Warszawie, w głębi swojej kamienicy ubezpieczonej od ognia, z ruchomościami nawet? Odpowiedź niedługa:

Radobryński był... referendarzem i emerytem a zarazem ojcem dwudziestoletniej córki, Ludwiki i ośmnastoletniego syna Edmunda, ucznia szóstej klasy gimnazyalnej. Powód zaś do przesiedlenia się z miasta na wieś, miał tylko jeden, kubek w kubek taki jaki przymusił pana Rocha Bujalskiego do zamiany Bykówki, Dzięciołów i... kawy z sucharkami wypiekanemi przez p. Trajkowską, na kamienicę w Warszawie.

Powodem tym była Cezaryna z Trombiszewskich, prawa jego małżonka, zaślubiona przed dwudziestu dwoma laty.

Pani Cezaryna Radobryńska przed ową epoką była tylko panną Cesią, córką emfiteutycznego posesora folwarku rządowego „Kluczniki”, położonego tuż nad Bugiem, wpobliżu miasteczka Kamieńczyka.

Wprawdzie, rodzice Cesi nie byli bogaczami, lecz mieli w ręku mająteczek dość korzystny, w domu dostatek uczciwy, a w wozowni... koczobryk, do którego furman a zarazem i parobek, Wojciech, zaprzęgał co niedziela i święto, cztery fornalskie szkapy, *koń przed koń*, jak się to mówi, by zawieść całą rodzinę do parafialnego kościoła.

Wówczas to właśnie Piotr Radobryński przybył z Warszawy w tamtą okolicę dla przepędzenia świąt wielkanocnych u cioci swojej, wdowy po podsędku powiatowym, zamieszkałej w Kamieńczyku.

A przybył tam, za urlopem otrzymanym od naczelnika wydziału oświecenia w komisyi spraw wewnętrznych, w którym to wydziale, jako sekretarz kancelaryi od lat już dziesięciu pracował gorliwie i zaszczytnie za 3,600 złotych polskich rocznie.

O panu Piotrze z powodu tej jego do Kamieńczyka wyprawy, możnaby powiedzieć to samo *prawie* co napisał był niegdyś o sobie Cezar, do senatu rzymskiego, to jest że: *przyjechał* do Kamieńczyka, *zobaczył* Cesię i... „ożenił się” z nią wkrótce.

Wprawdzie roztropna Cesia byłaby wolała wyjść za mąż za jakiegoś obywatela, posiadającego wieś dziedziczną, lecz ponieważ żaden z takich wymarzonych posesyonatów nie zajeżdżał jakoś pod skromny, słomą poszyty dworek w Klucznikach i ponieważ lękała się ażeby jej los z czasem, gorszego jeszcze nie napędził *Piotra...* osadzając na koszu, przeto rada nie rada, przyjęła rękę niezbyt już młodego i niezbyt powabnego urzędnika, a pożegnawszy z żalem i swoje marzenia młode i... stary koczobryk, wyjechała do Warszawy zaraz po ślubie, by tam objąć ster przygotowanego już dla niej drobnego gospodarstwa miejskiego.

Jednakże los okazał się dla Cesi dobrym opiekunem, albowiem odtąd na jej małżonka zaczęły kolejno spadać hojne jego dary, począwszy od znacznej sukcesyi po ciotce podsędkowej aż do rangi referendarza, z którym to tytułem otrzymał był i emeryturę także.

Słowem, w przeciągu dwudziesto kilkoletniego pożycia, skromna Cesia, córka obskurnego posesora, została jaśnie wielmożną referendarzową i gospodynią kamienicy na Nowym Świecie, którą pan referendarz za ów spadek po ciotce, zdwojony przez czas i oszczędność, nabył tanio, korzystając z pewnej epoki w której cena nieruchomości w Warszawie dość nizko spadła.

W tej świetnej operacyi finansowej pośredniczył mu był pan Brodoszewski, niegdyś szkolny kolega, rozumie się za dobrem wynagrodzeniem.

Wtedy to nastały dni błogie dla dostojnego referendarza! Używał w całem znaczeniu tego wyrazu, odpoczynku po długoletniej pracy.

Rano, zaraz po herbacie, chodził na mszę do Karmelitów Bosych; ztamtąd wstępował: zimą do Loursea, latem zaś do ogrodu Saskiego na kawę, gdzie pogawędziwszy z dawnymi kolegami, wracał do domu.

Tam, po wysłuchaniu relacyi swego rządzcy, zazwyczaj krótkiej i pomyślnej, gdyż lokatorowie płacili regularnie a meldunki szły w porządku, przesypiał się godzinkę, przed obiadem, który zjadłszy, smacznie drzemał znów w fotelu, pół godziny potem.

Następnie szedł znowu na kawę... czarną i na pogawędkę, przerywaną czytaniem gazet, a wieczorami w dnie powszednie, zasiadał do pulki preferansa, bądź u siebie w domu, bądź u którego z wiernych partnerów; w niedziele zaś, przepędzał wieczór w teatrze lub na jakiemś innem widowisku, zabrawszy żonę i dzieci.

I tak: modląc się, jedząc, śpiąc, drzemiąc i grając, szczęśliwy referendarz przepędzał resztki życia i zakończyłby je był wtakiż sam sposób błogi i niefrasobliwy, gdyby nie pani Cezaryna, która jako młodsza o lat dwadzieścia od swego małżonka, zaraz od początku wspólnego pożycia, wywierała nań wpływ przeważny... a jako córka obywatelska, jeżdżąca niegdyś koczobrykiem, marzyła zawsze i upornie o powrocie na wieś i osiedleniu się w dobrach własnych i to takich, któreby gdzieś niedaleko od Kamieńczyka leżały.

Licho nadało, że referendarz, będąc jeszcze sekretarzem i domniemanym tylko sukcesorem ciotki podsędkowej, schlebiał nieopatrznie takiem marzeniom młodej i powabnej żoneczki, przyrzekając stale urzeczywistnić je, skoro tylko możność dozwoli. Pani Cezaryna nie zapomniała o tych przyrzeczeniach i zaraz po śmierci cioci podsędkowej natarła silnie na męża o dotrzymanie owych.

Szczęściem jednak dała się wówczas przekonać, że kapitał otrzymany w spadku, nie był dostatecznym jeszcze i że należało go wpierw pomnożyć jakimś obrotem szczęśliwym.

Takim obrotem stało się korzystne nabycie kamienicy, która istotnie w lat kilka, po przejściu owej niekorzystnej dla nieruchomości miejskich epoki, nabrała wartości znacznej.

Obliczywszy tedy i wartość posesyi i kapitał powstały bądź z oszczędności, bądź z pozostałego po jej rodzicach mająteczku, pani referendarzowa przystąpiła do stanowczego szturmu, a wspierana dzielnie przez Brodoszewskiego, który działając w interesie własnym, oczywiście stał się jej sprzymierzeńcem, wymusiła wreszcie na potulnym zawsze małżonku owo doniesienie w Kuryerze, które tak przeraziło było pana Rocha, pijącego kawę a spowodowało ostatecznie facyendę „łeb na łeb” majątków tak pożądaną dla... żon obydwóch interesantów.

Poczciwy referendarz, który nigdy na wsi nie mieszkał a życie obywateli ziemskich znał tylko z przesadnych opowiadań żony i kolegi Brodoszewskiego, dał się w końcu przekonać o tem, że wieś jest rajem ziemskim, w którym on będzie jadał darmo, własną ręką zrywane wprost z drzewa owoce lub poziomki zebrane w lesie, zaprawne wiecznie świeżą od własnych krów... śmietanką.

Ba! wyperswadowano mu nawet, że znajdzie tam „pulkę” zawsze gotową w jesieni i zimie i że świeże powietrze oraz ruch... podczas lata, przywrócą mu nawet omnipotencye młodzieńcze!

A gdy jeszcze na dobitkę, Brodoszewski wykazał mu, jak na dłoni, że nabywając dobra przynoszące dziesięć tysięcy rubli rocznie za kamienicę, która daje istotnie sześć tysięcy tylko i to niecałe (gdyż do anszlagu wpisano podniesione teraz dopiero ceny lokalów, wraz z mieszkaniem samego właściciela a opuszczono niektóre wydatki), że tedy nabywając takie dobra robi świetny interes i zdwaja dzieciom majątek, poczciwiec zgodził się na wszystko i dawszy koledze-pośrednikowi trzy tysiące rubli gotówką a dwa w rewersie terminowym, pożegnał przyjaciół, przeżegnał siebie i... wyruszył z miasta.

* * *

Dopiero w dwa miesiące po wyprowadzeniu się państwa Bujalskich z bykowieckiego dworu, stęschniony Jan Bałkowski, wybrał się odwiedzić ich w Warszawie.

Zatrudnienia gospodarskie i żniwo, nie dozwoliły mu pospieszyć tam wcześniej, chociaż za to, myślą wędrował nieustannie do tych miejsc, w których obecnie przebywała Rózia, na które patrzyły jej szafirowe oczy, te oczy dziewicze, które on znał i pamiętał... ustami!

Zaraz po przybyciu do Warszawy, przebrawszy się świeżo w swój ubiór świąteczny, młody agronom wsiadł w dorożkę i kazał się zawieść do kamienicy na Nowym Świecie.

Przybył tam o godzinie dwunastej w południe i stanąwszy przy drzwiach, na których złoconemi literami wydrukowane było nazwisko nowych właścicieli, ujął za porcelanową gałkę i zadzwonił silnie.

W chwilę potem drzwi otworzyły się i lokaj w ciemno granatowej liberyi o guzach srebrzystych i wyherbowanych, przemierzył przybysza jakimś wzrokiem nieufnym i zuchwałym.

— Do kogo to? — zapytał, zagradzając wstęp Janowi, który chciał, tak odrazu, przestąpić otworzone mu progi.

Młody wieśniak zmieszał się nieco i rozgniewał lecz pohamowawszy się szybko rzekł:

— Chcę złożyć wizytę państwu Bujalskim. Proszę powiedzieć, że przybył ich dawny znajomy ze wsi, sąsiad, Jan Bałkowski.

Fagas uśmiechnął się ironicznie, zastąpił znów drogę i z widocznem lekceważeniem poglądając na głowę przybysza nakrytą pogiętym nieco i zakurzonym kapeluszem pilśniowym i na jego ręce ogorzałe, pozbawione rękawiczek, wyrzekł:

— Jaśnie państwo nie przyjmują tak rano. Jaśnie pani i jaśnie panny śpią jeszcze.

— Ależ to już południe przecie!—zawołał zdumiony młodzieniec.

— Ba! — odrzekł bezczelnie lokaj. — Na wsi to może i południe ale u nas, to dopiero rano.

— A pan Bujalski, czy śpi także?

— Jaśnie pan wstał już, ale jeszcze nieubrany to nieprzyjmuje także.

— No, no! — rzekł Jan zniecierpliwiony już wreszcie. — Mnie pan przyjmie z pewnością, idź tylko i donieś mu o mojem przybyciu.

— Ale ja tego zrobić nie mogę, bo jaśnie pan rozgniewa się na mnie.

Wyrazy: „Bałwanie! ruszaj zaraz!” cisnęły się już na drgające gniewem usta młodego wieśniaka. Lecz wysiłkiem woli pohamował je zaraz a natomiast dobywszy z portmonetki grosiwa, podał lokajowi datek, mówiąc:

— Proszę cię, mój przyjacielu... idź zawiadom pana, że sąsiad jego i dzierżawca dawniejszy, pragnie się z nim zobaczyć.

— A ma pan bilet wizytowy ze swojem nazwiskiem? — zapytał grzeczniej już daleko hojnie obdarzony fagas.

— Nie mam, mój drogi, ale powtórz tylko panu to, co mówiłem. Wystarczy...

— To już pójdę. Ale niech i pan także pójdzie za mną wyżej, bo jaśnie pan mieszka osobno na drugiem piętrze.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Postać Napoleona I-go przyćmiona od lat kilkunastu, wyszła dziś z pomroku i zaświeciła znów na widnokręgu literackim. Kilka miesięcy temu Taine, członek akademii francuzkiej, w jednotomowem dziele wydał o tym olbrzymie wieków, sąd nacechowany złą wolą i uprzedzeniem. Pokazuje tylko w Napoleonie artystę, a raczej sztukmistrza, który rzucał jaskrawe fajerwerki przed oczy świata. Odmawia mu wojennego nawet geniuszu i odwagi wobec niebezpieczeństwa. Sądy swoje opiera na świadectwach zaciętych wrogów, przytacza na dowód słowa Meternicha i sfałszowane pamiętniki Bourienna, sekretarza cesarskiego, póżniej zaprzedanego Burbonom.

Na te potwarze Taina, odpowiedział książę Napoleon bratanek cesarski. Odkrył fałszywe źródła z których czerpał autor. Dzieło księcia nacechowane godnością i spokojem zwróciło powszechną uwagę.

Niemało przyczyniają się do rozjaśnienia tej ciekawej epoki, listy księżniczki wirtembergskiej Katarzyny, małżonki Hieronima króla Westfalskiego, a bratowej Napoleona, wydane świeżo w Stutgarcie. Zaślubiona w widokach politycznych, Katarzyna dała najpiękniejszy dowód poświęcenia, w czasie, gdy po piętnastoletnich tryumfach sypnęły się gradem klęski na cesarza i całą jego rodzinę. Mimo nalegań ojca o rozerwanie związków, mimo więzienia i ucisku, Katarzyna nie złamała zaprzysiężonej wiary, podzieliła z mężem wygnanie i jak wyrzekł o niej cesarz na wyspie św. Heleny, bohaterskiem postępowaniem zapisała imię swoje w historyi.

Korespondencya ta objęta w trzech tomach, wyjdzie wkrótce zapewne w tłomaczeniu francuzkiem.

W tych dniach ukazały się przełożone z niemieckiego na francuzki język, Raporta komisarza austryackiego Bartłomieja Sturmera, wysłanego przez rząd na wyspę św. Heleny, w roku 1816. Wszystkie wielkie państwa, miały tam podobnych argusów, których obowiązkiem było śledzić Napoleona na każdym kroku. Cesarz nie pozwalał im przekroczyć progów swoich; oni też ze swej strony, unikali wszelkiej z nim styczności. Sturmer w trudniejszym był od innych położeniu; rząd austryacki zalecał mu bowiem nadzwyczajną ostrożność, aby nie zadrażnić podejrzliwej Anglii.

W najczarniejszych barwach, komisarz austryacki, ukazuje postać gubernatora Hudson Lowe. Nikczemnik ten kłócił się z całą wyspą. Napoleon nienawidził go. Doktor Irlandczyk O'Mearu, toczył z nim zaciętą walkę, wymawiając wręcz rolę szpiega, wszyscy komisarze patrzyli nań z pogardą.

O Napoleonie wyraża się Sturmer z najwyższym podziwem. Podnosi niesłychany urok jaki wywierał w koło siebie, mocarz upadły, bez pieniędzy, bez siły materyalnej. „Rzecz niepojęta, mówi on, jak ten więzień, trzymany pod ścisłą strażą panuje nad otaczającem go kółkiem, każdy pochyla przed nim głowę, porwany urokiem geniuszu, niezłomną siłą ducha i tym majestatem monarszym, odbijającym się w całej jego postawie. Francuzi towarzysze niewoli, patrzą nań z zachwyceniem. Las-Cazes powtarza nieraz: „Ciężki pobyt na tej dalekiej wyspie, osładza mi myśl, że mam szczęście widzieć to, co świat wydał największego."

Cesarz zachował tu zwyczaje przyjęte w Tuilleries: każdej niedzieli zaprasza rodziny francuzkie do stołu swego, wymaga od nich uroczystego wystąpienia. Przed ucztą rzuca okiem na stroje pań obecnych, jeśli te przypadają mu do smaku, chwali je z zadowoleniem, w przeciwnym razie okazuje widoczną niechęć. „Co znaczy ten śmieszny ubiór, mówi surowo, wyglądasz pani jak pokojówka."

Mimo że oddalony od dworu Sturmer, zna dokładnie tryb życia Napoleona, opisuje najdrobniejsze szczegóły. „Cesarz, mówi on, wstaje o dwunastej; je śniadanie, pracuje do trzeciej; wychodzi potem na przechadzkę, lub wyjeżdża powozem uprzężonym w sześć koni. O ósmej siada do stołu, obiad trwa trzy kwadranse; po obiedzie gra w szachy albo w bilard, poczem udaje się na spoczynek. Wśród nocy wstaje, pisze pamiętniki, posiłkując się Monitorem. Uczy się po angielsku. W dni ogólnego zebrania wieczorem, jeśli dobrze usposobiony, deklamuje przy poklasku całego kółka swego. Powtarza zazwyczaj rolę Nerona w Brytanikuzie, albo Augusta w Cynnie. Usiłuje naśladować ton i postawę Talmy. Niekiedy prosi panią Montholon o zaśpiewanie aryi włoskiej."

Sturmer przebywał dwa lata w charakterze komisarza; w roku 1818 cesarz austryacki odwołał go do Wiednia. Odtąd komisarz Ludwika XVIII reprezentował dwór wiedeński na wyspie św. Heleny.

Z dzieł świeżo wydanych o Napoleonie, zapiszmy tu jeszcze pyszną publikacyę noworoczną, pod tytułem: „Napoleon I i jego czasy".

Wielki tom ozdobiony trzystu rycinami i dwunastu chromolitografiami, obejmuje historyczny zarys sztuki wojskowej, literatury, nauki i sztuk pięknych, z epoki tak świetnej w dziejach Francyi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Lecz właśnie ta niesprawiedliwość i egoizm otworzyły jej oczy na własne uczucia. Z początku przywiązanie swoje do Lucyana uważała za wybryk rozegzaltowanej wyobraźni zadowolonej, że znalazła oddźwięk w bratniej duszy artysty. Z nieoględnością pensyonarki poddała się urokowi czarownych wrażeń, lecz widząc, że one odciągają ją zbyt daleko od domowego ogniska, ukazując ciągle w dali jakieś niezmierzone horyzonty, zaczęła badać własne serce, strwożona czy nie znajdzie kiełkującej w niem występnej namiętności.

Przeraziła się niemal doszedłszy do przekonania, że kocha Lucyana gwałtowną, namiętną miłością.

Nie uwierzyła matce gdy ta jej przepowiadała następstwa podobnej przyjaźni; zdawało jej się, że pełne szacunku uczucie dla męża, będzie jej tarczą ochronną.

Teraz mąż zawadzał jej; gdy ramię jego tuliło ją miłośnie ku sobie, chciała się wyrwać i uciec gdzieś daleko, aby uwolnić się od tej nieznośnej dla niej teraz czułości.

Całą siłą woli panowała nad sobą, aby nie zawołać:

— Daj mi pokój, odsuń się!

Niewypowiedziana trwoga ogarniała ją, gdy Maksym zbliżał się ku niej, drżała jak listek, gdy spoglądał na nią z uśmiechem...

Odtąd stała się ostrożniejszą w postępowaniu z Lucyanem, nie pozwalała tak łatwo pod pozorem znużenia oddalać się Genowefie i pilnie strzegła, aby nie okazać zbytniej czułości malarzowi.

— Co się to dzieje? — zagadnął ją raz Borrèze.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mój przyjacielu?

— Widzę w tobie zmianę, Katarzyno.

— Mylisz się, jam zawsze jedna i ta sama.

Wymawiając te słowa głos jej drżał jakby tłumionem łkaniem.

Biedna kobieta czuła teraz dla samej siebie głęboką pogardę; wrodzona szlachetność charakteru nie dozwalała jej łudzić się dłużej a nie czuła w sobie dość siły, aby stanowczo zerwać z Lucyanem. Stała nad przepaścią w którą jedna chwila zawrotu głowy strącić ją mogła bezpowrotnie.

Inna na jej miejscu kobieta, starałaby się może usprawiedliwić we własnem sumieniu jakiemi fałszywemi teoryami. Katarzyna była zbyt prawą aby miała się uciekać do takich wybiegów, czuła całą rozciągłość swojej winy, nazywała swe postępowanie szaleństwem, ale cofnąć się nie miała siły.

Przed miesiącem jeszcze życie jej płynęło tak spokojnie, a teraz co za różnica... Ha, nic dziwnego, kto wdziera się na niedostępne szczyty z łatwością wywołać może uderzenie piorunu. Olśniona światłem błyskawic, Katarzyna nie potrafiłaby już teraz wyżyć w chłodnej, szarej atmosferze którą oddychała poprzednio.

Zresztą choć sumienie się oburzało, głos jego tłumiła jakaś rozkoszna i bolesna zarazem bezwładność.

Młoda kobieta wstydziła się swej miłości, ale nie byłaby się jej za nic w świecie wyrzekła i z trwogą odwracała oczy od tej bezbarwnej przeszłości, w której nic nie mąciło jej spokoju.

Dla niej teraz dopiero rozpoczęło się prawdziwe życie ze wszystkiemi jego namiętnościami, rozkoszami i cierpieniem. Woń jakaś czarowna choć trująca odurzała jej zmysły, ciało cierpiało choć dusza poiła się rozkoszą, a pozorny spokój, który ją otaczał, w istocie pełen był burz, gromów i płomieni gotowych wybuchnąć za lada iskierką.

Nikt jednak nie powinien domyślać się uczuć szarpiących jej sercem, nikt a nadewszystko Lucyan nie dowie się nigdy o bolesnej jej tajemnicy.

Jedyną jej pociechą będzie tylko to, iż w głębi serca napawać się może smutkiem i radością i odwilżyć spragnione usta przy ożywczem źródle prawdziwej miłości nie przestając być jednak uczciwą kobietą.

Ale im bardziej siliła się ukrywać swe wrażenia, tem gorzej ciężyło jej jarzmo małżeńskich obowiązków.

Jeżeli nie sercem to przynajmniej z tytułu była zawsze wierną Maksymowi żoną; szlachetna i prawa nie zdradziłaby go nigdy, nie poniżyłaby się do upadku. Niemogąc ofiarować mu szczęścia, chciała chociaż ocalić jego pozory i kłamliwem zadowoleniem łudzić męża. Lecz w obecności pana Levallier czuła się tak przygnębioną, pieszczoty jego takim przejmowały ją wstrętem, że odgrywanie roli czułej żony stało się dla niej prawie niepodobieństwem.

Maksym nie domyślając się całej prawdy, martwił się jednak dziwną zmianą zaszłą w usposobieniu żony. Katarzyna raz smutna i ponura wpadała znowu w szał nienaturalnej wesołości.

Maksym z ojcowską niemal troskliwością zważał na jej chęci i pragnienia, rad był pochwycić jakiś kaprys lub fantazyę, zadowolnienie której przyniosłoby Katarzynie pożądany spokój.

Raz zastał ją wieczorem w nieoświetlonym pokoju, leżącą jak martwą na szezlongu. Oczy jej szeroko otwarte, świeciły w ciemności jakimś fosforycznym blaskiem. Na odgłos kroków męża nie

ruszyła się, nie drgnęła nawet. Pozostała również obojętną, gdy Maksym zadzwonił o światło.

Skoro wniesiono świece, Maksym przeraził się widokiem żony. Bujne jej czarne jak krucze pióra włosy, rozrzucone bezładnie, tworzyły ciemny dyadem nad czołem podwyższając bladość lica, z którego chciał naprożno wyczytać powód gnębiącej ją troski.

Kto inny teraz wiedział całą prawdę, choć trzeba przyznać sprawiedliwość Lucyanowi, że nie korzystał z odniesionego zwycięztwa. Kochał Katarzynę szczerą, prawdziwą miłością, a taka miłość potrafi być cierpliwą gdyż jest wieczną. Widok ukochanej wystarczał mu w zupełności do szczęścia. Czuł że Katarzyna panując nad sobą, podziela jednak jego uczucia. Czegóż więcej mógł żądać? Byłoby nieszlachetnie z jego strony zakłócać spokój tej idealnej miłości.

Żadna brudna, ziemska myśl nie kalała ich nigdy, zobopólna prawość charakteru była im rękojmią wzajemnego zaufania. Nie lękali się przepaści, niebezpieczeństwo grozi tylko tym, którzy zamykają nań oczy.

Lucyan widząc, że nic nie grozi jego honorowi, poddawał się z rozkoszą mile kołyszącym go wrażeniom.

W rozmowach ze sobą młodzi ludzie nie dotykali nigdy drażliwego przedmiotu, każde jednak słowo miało dla nich tajemne znaczenie. Upajali się duchowemi pieszczotami, a bujając w jakichś nadziemskich sferach oddychali pełną piersią anielską, idealną rozkoszą.

Szaleni lecz słusznie dumni ze swej prawości, uważali się za istoty wyższe od innych ludzi, za półbożków nieczułych na cierpienia cielesne.

Płonąc ogniem szlachetnej miłości, byli pewni, że nie osmalą sobie skrzydeł, że zawsze bujać będą w błękicie nieskończoności jak orły, które pławiąc się w słońcu pogardzają ziemią.

Pewnego popołudnia, pochyleni nad robotą pracowali gorliwie oboje. Genowefa widziała jak dłoń Borrèza kierowała paluszkami Katarzyny...

Młoda dziewczyna niezdolna dłużej znieść tego widoku, cofnęła się niepostrzeżenie. Nie chciała być świadkiem ich zażyłości, było to dla niej nieznośną torturą. Skryła się więc w najciemniejszy kącik pokoju.

— Gdzie pani się chowasz? — zawołał w tej chwili Borrèze, w tym półcieniu niepodobna rozpoznać rysów twojej twarzy!

I szybkim ruchem odsunął firankę, a promień światła padając wprost na złotowłosą główkę otoczył ją jakby aureolą świętości. Poczem ująwszy pędzel, kilkoma rzutami rozjaśnił tło obrazu, dodając mu przez to życia i wdzięku.

Katarzyna zaczęła unosić się nad jego talentem, a chcąc lepiej ocenić efekt, cofnęła się krokiem w tył, nie spostrzegłszy, że ruch ten zbliżył ją do Lucyana tak, iż prawie wsparła się o niego.

Młody człowiek nie miał siły cofnąć się przed tem dotknięciem.

Roztworzył tylko ramiona, aby pędzlem lub paletą nie dotknąć Katarzyny. Tym sposobem pani Levallier wspierała się na jego piersiach.

Tego było już nadto dla Genowefy. Szybko wysunęła się z pokoju a lekki szmer jej westchnienia uszedł baczności zakochanych i rozpłynął się boleśną skargą w powietrzu.

Zresztą nawet jęki i westchnienia całego świata nie potrafiłyby przytłumić im rozkoszy obecnej chwili. Nie uczynili tego z rozmysłem, sposobność nastręczyła się sama, nic więc dziwnego, że skorzystali z niej niemal bezwiednie.

Katarzyna czuła gwałtowne uderzenia serca Lucyana. O! gdyby tak można żyć wiecznie, płynąć w nieskończoność i nigdy tej drogi nie kończyć.

Młoda kobieta czuła ogień w żyłach, namiętny oddech Lucyana muskał ją po włosach. Zwróciła głowę i spotkała się z jego wzrokiem, który pociągał ją magnetyczną siłą ku sobie.

Zmieszana spuściła powieki i postąpiwszy parę kroków padła bez sił na najbliżej stojące krzesło.

Lucyan nie usiłował powstrzymać ją uściskiem, mając ją tak blizko nie przygarnął jednak w ramiona lecz płonące jego źrenice paliły ją jak ogniem.

I w istocie czyż ta słaba, bezbronna istota nie była teraz na jego łasce? Wszak był mężczyzną i dość już walczył i cierpiał.

Jakiż moralista poczytałby mu to za występek, gdyby w tej chwili rzucił się do jej nóg i w pierwszym pocałunku usłyszał pierwsze wyznanie miłości?...

Świat zniknął im z przed oczu... w tej chwili jak anioł opiekuńczy zjawiła się w komnacie wracająca Genowefa. Widząc zmienioną twarz bratowej podbiegła do niej z pytaniem:

— Co ci jest Kasiu? Czyś chora?

Katarzyna potarła dłonią czoło i jakby zbudzona ze snu szepnęła:

— W istocie czuję się bardzo cierpiącą... Bądź zdrów Lucyanie.

Młody człowiek zrozumiał ją i oddalił się nie rzekłszy słówka.

Katarzyna otoczyła Genowefę ramionami i siedziała tak długo milcząca i nieruchoma jak posąg.

Spokój za którym tak goniła rozwiał się w jednej chwili jak zwodnicze złudzenie. Nie była dzieckiem i doskonale rozumiała niebezpieczeństwo jakie jej groziło przed chwilą. Ufność jej względem Lucyana spotęgowała się jeszcze bardziej, ale za to pogarda dla samej siebie wzrosła w dwójnasób. Poznała jak była słabą i bezwłasnowolną, a chcąc uniknąć powtórnej pokusy, prosiła wieczorem Maksyma, aby ją zawiózł do Nicei.

— Wielki Boże! i pocóż to? — zawołał przerażony Maksym. — Czyżby ojciec twój miał się gorzej?

— Tak... zdaje mi się... nie wiem doprawdy... Lecz pragnę zobaczyć się z matką... Jedźmy natychmiast...

— Jakto? Tak nagle?

— Błagam cię, zrób to dla mnie.

— A moje interesa?

— Porzuć wszystko i jedźmy, jedźmy coprędzej...

— Łatwo ci to powiedzieć, lecz czyżby to dla ciebie nie było wszystko jedno, gdybyśmy pojechali dopiero za dwa tygodnie? Wszak zgodzisz się na to mój aniołku? Za dwa tygodnie będę na twoje rozkazy...

— To już będzie zapóźno... nie zwlekaj Maksymie.

— Cóż ci tak pilno, Kasiu, upewniam cię, że teraz nie mógłbym z tobą jechać.

— To zabiorę z sobą Genowefę.

— Wiesz dobrze, że babcia nie obyłaby się bez swego anioła stróża.

— Jeśli we wszystkiem wynajdywać będziesz trudności, to nie porozumiemy się nigdy ze sobą.

— Pojmujesz chyba Kasiu, że w tym razie mam zupełną słuszność.

Katarzyna spojrzała mu prosto w oczy.

— Daję ci słowo, że to nie kaprys z mej strony, że jechać muszę natychmiast.

— No, to znów co innego, wiesz że nawet kaprysom twoim nie sprzeciwiam się nigdy. Czyń więc jak ci się podoba.

— Wyjadę zatem jutro zrana Maksymie i nie zabiorę ze sobą nikogo.

Szło jej o to, aby Lucyan nie zastał jej już w domu, gdy przyjdzie jak zwykle po południu.

Pan Levallier ze smutkiem przyjął postanowienie żony. Dobroć jego nie wzruszyła nawet Katarzyny, potrzebowała rozrywki i odurzenia i dlatego dążyła do Nicei.

Cały wieczór a nawet część nocy młoda kobieta spędziła na przygotowaniach do podróży. Krzątała się i pakowała z gorączkowym jakimś pośpiechem, nie dając się wyręczyć pokojowej, pomimo próśb Maksyma, który błagał, aby się nie męczyła. Może tym sposobem chciała uniknąć przykrego sam na sam z mężem, przed którym trudnoby jej było ukryć dręczący ją niepokój.

Drżała jeszcze teraz na samo wspomnienie przebytych dziś wrażeń a czując się tak słabą, pragnęła uciekać natychmiast.

Przymknąwszy oczy widziała się obok Lucyana, gdy przytulona do niego słuchała gwałtownych uderzeń jego serca... Na myśl o tem krew falą biła jej do głowy.

Usta jego nie dotknęły nigdy ust młodej kobiety, ją jednak ogarniało namiętne pragnienie pocałunku choć wstyd i upokorzenie szarpały jej sercem.

Całą siłą woli walczyła z ogarniającym ją szaleństwem; postać Lucyana uparcie stała przed oczyma jej wyobraźni, czuła że jedno jego słowo uczyniłoby z niej pokorną niewolnicę. Ale wtedy gardziłaby nietylko sobą ale i nim zarazem, gdy przeciwnie teraz Lucyan dorastał wysokości bohatera.

Jeśli uciekała to tylko przed samą sobą, siebie lękała się jedynie; czuła że nie potrafiłaby ukrywać dłużej swych uczuć w obec Lucyana.

— A mąż? a matka? — pytała się w duszy z rozpaczą — dla obojga niesława moja byłaby ciosem śmiertelnym! W ucieczce, w oddaleniu, jedyny mój ratunek...

Nazajutrz pan Levallier odwiózł żonę na kolej i umieścił ją w wygodnym przedziale.

Ozwał się drugi dzwonek a Maksym stał jeszcze na stopniu zamyślony i smutny.

— To pierwsze nasze rozłączenie, Kasiu—rzekł wreszcie stłumionym od wzruszenia głosem.

Smutek jego rozrzewnił Katarzynę. Biedny Maksym! nie wiedział jaka przepaść dzieliła ich teraz.

Po chwili dodał wahająco jak gdyby miał nadzieję zatrzymania jeszcze Katarzyny w domu:

— Przykro mi, najdroższa, że odjeżdżasz sama, tem bardziej, że twoja twarz zmieniona dowodzi, że masz jakieś zmartwienie.

— Co za przypuszczenie, mój drogi.

— Tak, tak, masz zmartwienie i chcesz się z niem zwierzyć przed matką.

— Upewniam cię, że...

— Nie szukaj próżno wymówek, bo im nie uwierzę, czuję aż nadto dobrze, że domysły moje nie są mylne i zazdroszczę, że masz więcej zaufania do matki niż do mnie, a zdaje mi się, Kasiu, że mam wszelkie prawo dzielić z tobą każdą troskę.

— Ależ ja nie mam żadnej troski — odparła przyciszonym głosem.

Maksym przyciągnął ją w objęcia i patrząc z czułym niepokojem w pobladłe jej lica, zapytał serdecznie:

— Czy mówisz szczerą prawdę, najdroższa?

Ona milczała przez chwilę, niezdolna zebrać myśli; wewnętrzna walka wyczerpała jej siły zupełnie a i słowa stłumiła w gardle, uśmiechnęła się więc tylko z przymusem.

— Czy mimowolnie wyrządziłem ci jaką przykrość? — zapytał troskliwie Maksym.

— Ależ bynajmniej! Co za myśl, mój drogi... Przykro mi tylko, że nie jedziesz razem ze mną.

Słowa te wypowiedziała z takim akcentem szczerości, że pan Levallier doznał trochę ulgi w nieokreślonej trwodze.

Wreszcie pociąg ruszył i Katarzyna pozostała sama zupełnie. Zdala jeszcze Maksym tęsknem żegnał ją spojrzeniem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W ostatnich kilku tygodniach wywóz wyrobów przemysłowych z Warszawy znacznie się ożywił.

Między innemi, znaczniejsze fabryki fortepianów w mieście naszem, wysłały do Charkowa, Kijowa, Tyflisu i Odesy po kilka sztuk instrumentów salonowych i koncertowych oraz otrzymały dość znaczne zamówienia na dalszą dostawę.

Fabryki wyrobów drucianych, galanteryjnych, perfumeryi, wyrobów rogowych, skórzanych i t. p. wysłały znaczne transporty, bądź w głąb Cesarstwa, bądź na Kaukaz.

Do Rumunii pierwszą znaczniejszą partyę wyrobów galanteryjnych, jak guzików, spinek oraz grzebieni wysłała przed parą tygodniani „warszawska fabryka wyrobów rogowych".

We Lwowie ks. Lubomirska odwiedziła wraz z bratem swym ks. Ponińskim i bratową stowarzyszenie rzemieślników „Gwiazda", które przed 18-tu laty obdarzyła kwotą 6,500 zlr. W świątecznie przystrojonej sali przyjął księżnę, wprowadzoną przez p. Mieczysława Darowskiego, prezesa stowarzyszenia p. Franciszek Głodziński, który wykazał, jak „Gwiazda" spełnia swoje zadanie. Młodzież rzemieślnicza kształci się; na cele humanitarne wydało towarzystwo około 100,000 zlr., na chorych 46,000 zlr., na inwalidów, wdowy i sieroty 38,000 zlr., na zapomogi 2,000 zlr., na cele naukowe 12,000 zlr. i zakończył okrzykiem „Niech żyje księżna, nasza fundatorka, jej dom i rodzina", Chór „Gwiazdy" zebrany na scenie około portretu księżnej, odśpiewał bardzo poprawnie „Niechaj żyje" z „Halki". Księżna podziękowawszy za te objawy wdzięczności oświadczyła, że „Gwiazda" swoją własną pracą wszystko sobie zdobyła. Następnie przemawiali p. Obirek (zecer), ks. Siemieński, a hr. Russocki upewniał, że księżna jeszcze nieraz będzie się przyczyniać do rozwoju stowarzyszenia, a od siebie przyrzekł również poparcie.

W osadzie rolniczo rzemieślniczej w Studzieńcu r. b. obchodzono bardzo sympatyczną uroczystość.

Trzech wychowańców przez wzorowe sprawowanie się, zasłużyło na skrócenie im terminu pobytu w zakładzie, wyrokami sądowemi zakreślonego; a ponieważ obok tego uzdolnili się w rzemiosłach: kołodziejskiem, szewckiem i stolarskiem w związku z rzeźbieniem na drzewie o tyle, że mogą już zarobić na swe utrzymanie, przeto na przedstawienie miejscowej zwierzchności, zarząd Towarzystwa osad rolnych wyjednał dla nich u p. Ministra sprawiedliwości warunkowe uwolnienie.

Ogłoszenie tej wyjątkowej nagrody, w obecności przewodniczącego w zarządzie oraz członka zarządu pana Józefa Gumowskiego, po odpowiednich przemówieniach, uwieńczyło szereg odznaczeń i promocyi, za dobre sprawowanie się udzielonych na niedzielnem posiedzeniu i napełniło najżywszą radością uwolnionych, oraz wpłynęło bardzo korzystnie na wszystkich ich towarzyszów, stanowiąc skuteczną zachętę do pozbycia się dawnych nałogów i zdrożności, a wytrwania w cnocie i zasadach z takim trudem i poświęceniem wpajanych w wychowańców studzienieckich przez zwierzchność miejscową.

Błogosławieństwo zwierzchników i serdeczne życzenia kolegów, umocniły uwolnionych na drogę uczciwej pracy i spłacania długów wdzięczności społeczeństwu, które nie zaniedbało zająć się ich losem i dostarczyło im środków do stania się użytecznymi pracownikami, pomimo braku opieki rodzicielskiej w dzieciństwie i zaniedbania, w jakiem pierwotnie pozostawali, a które doprowadziło ich aż do skazania do zakłada poprawczego w Studzieńcu.

Uwolnieni warunkowo, będą bezwłocznie umieszczeni pod należytą opieką u majstrów odnośnych rzemiosł, celem ukończenia nauki i uzyskania wyzwolenia na czeladników.

Pomnik Kraszewskiego. Jak wiadomo, w lewej nawie kościoła ś to Krzyzkiego, zostało już obrane miejsce na grobowiec J. I. Kraszewskiego.

Pomnik poety z bronzu i czarnego marmuru, wykonać ma znany rzeźbiarz p. Kryński.

O ile wiemy, składać się on będzie z biustu nieodżałowanego pisarza, pomieszczonego w niszy odpowiednio udekorowanej.

Po lewej stronie tej niszy, stanie bronzowa „Praca", po prawej takiż „Geniusz".

Obie te figury naturalnej wielkości, podtrzymywać będą górną część pomnika z napisem, zakończoną bronzowym krzyżem.

Poniżej biustu, na podstawie, umieszczony będzie stos książek.

Postać „Geniusza", o której wyżej, trzymać będzie w prawej ręce wieniec, wznoszony nad głową mistrza.

Koszt całego pomnika wynosić ma około 4,000 rs., a chociaż fundusz ten jest dopiero w części tylko zebrany, p. Kryński zaraz przystąpi do roboty, ażeby mieć więcej czasu do jej należytego wykonania.

Nerwowość kobiet, jak pisze głośny hygienista Karol Reklam, bierze początek zwykle w braku krwi i świeżego powietrza. Wiele osób uważa za coś „niekobiecego" jeżeli kobieta okazuje przy obiedzie dobry apetyt i jeżeli pragnienie swe gasi potężnemi haustami. Piją więc one po kropelce, a jedzą jak kanarki po odrobince, zapominając, że świeżość umysłu i świeżość ciała nigdy nie chodzą z osobna, lecz w parze. Kto chce zachować świeżość i siłę umysłu, musi się starać o świeżość i siłę ciała. Czemże się to jednak dzieje, że tak zwane „choroby kobiece" rzadsze są w Anglii, niż w innych krajach? Odpowiedź na to jest łatwą. W Anglii każda zamożniejsza rodzina zajmuje własny dom, który najczęściej szerokim jest tylko na trzy okna. Kuchnia znajduje się tam w suterynie, jadalnia na parterze, pracownia na pierwszem piętrze, sypialnia zaś na drugiem i trzeciem. Angielka więc chodzi cały dzień po schodach, to na górę, to na dół; w ten sposób nabywa wprawdzie trochę niezgrabnego chodu i skłonności do podnoszenia kolan w czasie chodzenia, ale też wskutek tej ustawicznej gimnastyki nóg wyrabia sobie siłę w dolnych kończynach ciała, oraz doskonały apetyt. Inne kobiety a także i nasze Polki, nie lubią mieszkań rozrzuconych na kilku piętrach, wskutek czego nie mogą utrzymać należytej czystości w pokojach, ani wprowadzać do nich tyle świeżego powietrza, ile go dla zdrowia potrzeba. Oto przyczyny, że kobiety angielskie są zdrowsze i mają piękniejszą formę ciała, aniżeli inne. Piękność innych kobiet — mówi Reklam — polega na miłym wyrazie twarzy, piękność Angielek zaś polega na zdrowiu i harmonii całego ciała. Dzięki temu kobiety angielskie nie są tak nerwowe, jak wszystkie inne.

W chwili obecnej Warszawa posiada siedm kobiet lekarzy, poświęcających się praktyce.

Liczba ta powiększy się niebawem, gdyż była uczenica uniwersytetu w Zurichu, panna Marya Czetwierska, udała się do Petersburga, aby tam złożyć wymagany egzamin i osiąść na stałe w mieście naszem. Nadto, panna Zofia Gutzmanówna, warszawianka, w ciągu ostatnich dni, na wydziale lekarskim w Warszawie, złożyła egzamin dentystyczny. Jest ona pierwszą dopiero, której komisya egzaminacyjna wydziału lekarskiego w Warszawie przyznała stopień dentystki. Oprócz tych naukowych zawodów, kilka pań zamieszkałych w Warszawie, po ukończeniu odpowiednich studyów rysunkowych, poświęciło się sztuce rzeźbiarskiej pod kierunkiem p. Sł. Celińskiego. Niektóre z nich zdradzają talent istotny.

Powodzenia na ciernistej drodze do artyzmu! życzymy.

— Dlaczego tak dawno nie byłeś w teatrze? Dawniej widywałem cię w nim prawie codziennie.

— Teraz nie bywam w nim prawie nigdy.

— A to dlaczego?

— Krzesła tak są niewygodne, że nawet na chwilkę nie można w nich zasnąć.

* * *

Do nowych objawów dziwaczności Amerykanów należy opis obrzędu ślubnego, dokonanego na drugiej półkuli. Pewnej młodej parze nie podobały się dotychczasowe śluby, zawierane przed ołtarzem w świątyni, oboje zapragnęli wziąć ślub w sposób, w jaki jeszcze nikt na świecie związku małżeńskiego nie zawarł. Ślub na balonie wydał im się rzeczą zbyt powszednią, bo takie już się w Ameryce zdarzały. A zatem mis Adams, amantka i mr. Delmar, lekki amant teatru w Norwich, tak bowiem nazywali się owi narzeczeni, postanowili wziąć ślub godny aktorów, na scenie w oczach publiczności. Dyrektorowi teatru zamiar ten bardzo się spodobał, spodziewał się bowiem, że ślub na scenie ściągnie do teatru tłumy publiczności. Ogłosił zatem, że po przedstawieniu komedyi takiej a takiej, odbędzie się na scenie ślub gwiazd jego

towarzystwa. Dyrektor nie zawiódł się, bo publiczność zapełniła teatr po brzegi, a narzeczeni również nie zawiedli się w swej nadziei, gdyż istotnie pomysłem swoim wywołali niezwykłą sensacyę i naraz nazwiska ich stały się głośne w całym świecie. Po przedstawieniu zapowiedzianej komedyi, w którem oboje narzeczeni brali udział, wszedł na scenę orszak weselny i złożył im życzenia szczęśliwego pożycia. Nie zapomniano i o darach dla panny młodej. Po chwili wszedł na scenę pastor Jewelt, rektor kościoła protestanckiego w Norwich i miał do narzeczonych przemowę, która publiczności, obecnej w teatrze tak się spodobała, że wywołała burzę oklasków i okrzyków: bis. Pastor jednak mowy swej, jako niepodpowiadanej przez suflera teatralnego, nie powtórzył, lecz przystąpił zaraz do obrzędu ślubnego. Ceremonia ta wywarła na publiczności wrażenie takie, jakby była wyjętą z komedyi, gdyż nastąpiły znów żywe okrzyki i oklaski. Znaleźli się jednak i tacy, a było ich wielu, którzy młodą parę sowicie obdarzyli, tak, że pomysłowi aktorowie dobili się nietylko rozgłosu, lecz i pieniędzy.

* * *

Pozostanie... Pod tym tytułem złośliwy felietonista „Figara", Albert Millaud podaje następującą rozmowę w gabinecie prezydenta rzeczypospolitej. *P. Grévy.* Nie zatrzymujcie mnie... Nie mogę pozostać dłużej na mojem stanowisku. Podajecie w wątpliwość honor mojego ukochanego zięcia. Muszę podać się do dymisyi.

— Ależ panie prezydencie...

— Nie nalegaj pan, jest to postanowienie nieodwołalne.

— A więc niech się stanie wedle pańskiej woli. Przyznaję nawet, że to postanowienie wykazuje tylko szlachetność pańskiego charakteru. Wywoła ono żal w całym kraju.

— Nie chcę być żałowanym.

— Będzie nam bardzo przykro...

— Nie mów mi pan tego; nie pragnę wcale, żeby wam było przykro.

— Cała Francya będzie opłakiwać pańskie usunięcie się.

— A więc sądzisz pan, że Francya...

— Pocieszy się niewątpliwie, lecz tem niemniej zaboleje nad utratą pana.

— A jednak gdyby się nie pocieszyła?

— Zdziwiłoby mnie to mocno.

— Może się to jednak zdarzyć.

— W ostateczności...

— A gdyby się zdarzyło, nie mógłbym sobie darować, żem zmartwił tę kochaną Francyę.

— Nie bój się, panie prezydencie, to zmartwienie przejdzie niebawem.

— Choćby nawet było najkrótszem, nie powinienem narażać jej na nie. Prawdziwy patryota nie ma prawa zasmucać swej ojczyzny, choćby na minutę.

— Uspokój się pan, mówiłem to tylko przez grzeczność, lecz jeśli pan chcesz wiedzieć prawdę...

— Jakto, więc ustąpienie moje wywoła radość powszechną?

— Nie mogę tego potwierdzić... dobre wychowanie... grzeczność... wreszcie pański wiek, nie pozwalają mi, gdybym nawet tak myślał.

— Skoro zatem moja dymisya nie wywoła radości, musi sprowadzić smutek, przygnębienie. Otóż tego przygnębienia pragnę wam oszczędzić. Pozostaję.

— Panie prezydencie!...

— Nie dziękuj pan, zostaję!

* * *

Babia wojna. W miasteczku Tatiw, zangezurskiego powiatu (Kaukaz) w tych czasach miała miejsce babia wojna. Konsystująca tam secina kozaków z nudów zaczęła sobie żartować z dzieci i straszyć je, mówiąc, że przysłani zostali, aby wszystkich mieszkańców wziąć do wojska. Wiadomość ta doszła do kobiet tamtejszych, które uzbroiwszy się, jak mogły: w dębczaki, pałki, grabie, łopaty, na seryo zaatakowały nieprzyjaznych kozaków. Nie chcąc wszczynać batalii z tem babiem wojskiem: kozacy cofnęli się z miasta, a uzuchwalone baby daleko jeszcze po za miastem goniły za nimi z okrzykami pełnemi grozy. Powróciwszy zwycięzko z wyprawy, babia komenda udała się do domu pomocnika naczelnika powiatu i rozpoczęła oblężenie. Gdy pojawił się naczelnik powiatu, baby przyjęły go tak groźnie, że ten w roztargnieniu zatelegrafował do gubernatora elizawetgradzkiego o strasznym buncie, ogarniającym cały powiat. Gubernator z oficerem żandarmeryi i dwustoma kozakami przybył na miejsce owego buntu, ale ten już przycichł. Wojownicze baby oddane zostały pod sąd, ponieważ jednak rozlewu krwi nie było, przeto sądy uwolniły babie wojsko od odpowiedzialności.

* * *

Można być nieużytym samolubem, chciwcem i krzywdzicielem, a mimo tego uchodzić za bardzo przyzwoitego i porządnego człowieka. Pomagającemu jednak sobie przy jedzeniu palcami i biorącemu z talerza także palcami kawałki mięsa, nigdy ludzie nie przebaczą i odsuną się od niego uważając za barbarzyńcę! Jak to nazwać?

RÓŻNE MYŚLI.

Szczęśliwy, kto kocha silnie i z dobrej woli to, co kochać musi.

Pascal.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki.

Nowelle i obrazki, p. Waleryą Marrené. Wydanie drugie.

Dzieje ziemi, przez N. S. Shalera, profesora panteontologii w Uniwersytecie w Harward. Przełożył z angielskiego, z upoważnienia autora Henryk Wernic. Przejrzeli i dopiskami dopełnili: Antoni Ślósarski i Józef Siemiradzki.

Cztery nowelle: Michał Duniak, Wojciech Zapała, Ultimus, Pod prawem. Napisała Marya Konopnicka. Z portretem autorki.

Celem rozpowszechnienia znajomości naszego kraju Redakcya Przeglądu Tygodniowego zamierzyła wydać cały zbiór książeczek, zawierających opisy wszystkich kolejno prowincyi polskich, popularnie opracowane i illustrowane a przeznaczone do łatwego czytania dla ogółu i młodzieży. Pierwszą książeczką z tego nowego wydawnictwa jest **Szlązk (Austryacki) słowem i ołówkiem na podstawie najnowszych źródeł przedstawiony.**

O księdzu Stanisławie Staszycu, napisał Kazimierz Promyk. Wydawnictwo księgarni Krajowej i Gazety Świątecznej Konrada Prószyńskiego.

Szkoła tańca Karola Mestenhauzera, część druga. **Tańce kołowe i figurowe.** Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena rs. 1.

Zaczarowana Magdusia komedyjka w dwóch aktach, napisana przez Ludwika Niemojowskiego, niegdyś drukowana w Przyjacielu Dzieci, wyszła w oddzielnej książce. Ułożona bardzo zręcznie, pełna życia i wesołości, graną była w teatrze Towarzystwa dobroczynności czternaście razy i zawsze gromadziła liczną gromadkę młodych słuchaczy. Nabyć ją można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych w cenie 15 kop. za egzemplarz.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Wiktoryi Zawadzkiej w Czérnihowie. Tygodnika Mód i Powieści kwartał trzeci b. r. może być w całym komplecie nabyty.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Ноября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy.)

Dodatek.

Opis do N-ru 48.

N. 1, 3 i 50 w N-rze 49. Ubranie domowe z upięciem *à panier* z jednego boku. Model kroju draperyi na ryc. 50 w N-rze 49.

Na modelu do ryc. 1 i 3, do spódnicy z popielatej, moire-antique, stanik i draperya zrobione były z kaszmiru takiegoż koloru. Z dwóch brytów potrzebnych na draperyę z przodu, bryt *a* spuszcza się gładko do dołu, a bryt *b* stanowi *panier*, w którem zaszywa się fałdy podług znaków, następnie brzeg boczny podnosi się w górę dwukropkiem do gwiazdki i wszywa w pasek, a brzeg dolny jest w róg spuszczony. Bryt tylny *c* składa się z boku podług krzyżyków i w górze podług kropek w trzy duże pukle, a dalej fałduje ściśle podług znaków. Stanik odrobić w sposób wskazany na ryc. 1 i 3. Do ozdoby służy piękna popielata pasmanterya.

N. 2 i ryc. 51 w N-rze 49. Ubranie spacerowe z vêtement.

Chociaż draperyę tylną kraje się razem ze stanikiem, jednak upina ją się i przyszywa na spódnicy, zarówno jak i oddzielnie dodaną draperyę z przodu. Tak tę ostatnią jak i tylną draperyę z prawego boku, dopełnia bryzik gładko spuszczony do dołu. Na spódnicy u dołu naszyte 14 cent. szerokie obłożenie z futra, dane także wzdłuż przez środek tylnej draperyi. Futro zdobi także patki kieszeniowe, krajane razem z boczkami stanika, pokrywa kołnierz stojący, mankiety i stanowi ranwers na prawej połowie przodu. Na lewej połowie dane akselbanty ze sznurów. Model odrobiony z ciemnego zielonego sukna, zdobiło futro bobrowe.

N. 5 i 8—9. Dolman wyszyty perełkami.

Model odrobiony z czerwonawo brązowego sukna, na atłasowej podszewce zdobiła pasmanterya i frendzla z perełek takiegoż koloru. Mały model kroju dajemy na ryc. 9. Do przodów *a* przyszywają się przez całą długość boczki *b* i *c*, a plecy *d* tylko na ramionach. Zwierzchnia część rękawa *e* na której część spodnia oznaczona jest linijką kropkowaną, wszywa się od gwiazdki do gwiazdki do przodów i plecków, a od gwiazdki do dwukropka do boczków. Przy plecach pod punktem i gwiazdką, a przy boczkach przy dwukropku i pod gwiazdką pozostają brzegi nie zeszyte. Obadwa przody złączone są taśmą elastyczną 43 cent. długą, pokrytą nadmarszczonym atłasem i przyszytą w miejscu oznaczonem krzyżykiem, a boczki drugie z plecami złączone są kawałkiem wstążki 4 cent. długim, przyszytym nad dwukropkiem do drugiego boczka. Prócz tego plecy na wcięciu w pasie podszyte są wstążką 3 cent. szeroką, wiązaną z przodu. Przody zapinają się na kryte haftki.

N. 6. Kapotka z piór strusich.

Jako podłożenie pod pióra, 8 cent. wysoką główkę pokrywa się gładko białą materyą a rondko 5 cent. szerokie, materyą czarną, na pierwsze układa się sposobem wskazanym na ryc. 6, piórka białe, a na drugiem czarne. Ubranie upięte jest ze wstążki kremowej 12 cent. szerokiej, repsowej z atłasowemi brzegami, której dwa kawałki przyłożone gładko jeden do drugiego, składają się w pukle, z których środkowe są 13, a brzeżne 6 cent. długie, zaś trzy najdłuższe ułożone są na denku główki. Szarfy do wiązania z tej samej wstążki. Taki sam kapelusz zobaczyć na ryc. 5.

N. 7. Paletocik wcięty do figury, wyszyty sutaszem. Krój jak do ryc. 21—22 w N-rze 47.

Paletocik z materyału *Double* w ciemnym kolorze, miał tylko plecy ukrojone w całej długości, zaś do boczków i przodów dodana była baskina 13 cent. długa. Kołnierz stojący 6 cent. wysokości, patki kieszeniowe $3\frac{1}{2}$ długości 15 cent. górnej a 20 dolnej szerokości. Przody zapinają się trochę skośnie z boku, na guziczki do których dodane są listewki od spodu. Model paletocika zdobiło wyszycie sutaszem, zapełniające kołnierz i patki, mające $5\frac{1}{2}$ cent. na rękawach, a na zwierzchniej połowie przodu 11 cent. górnej szerokości.

N. 12. Haft serbski, skośnemi ściegami.

Ryc. 12 przedstawia wierną kopię dawnego haftu serbskiego, robionego na grubem, szarem płótnie, na którem można nitki obliczać, włóczką ostrą hamburgską albo *Crewel*, w kolorze brązowym, płowo zielonym i szafirowym. Środki figur zapełniane są naprzemian temi trzema kolorami, a kontury i małe haczykowate gałązki robione zawsze kolorem brązowym. Tło zahaftowane jest gęstym ściegiem skośnym zajmującym 3 nitki wzdłuż a dwie nitki wszerz, ściegi idą w rzędy a brane są od dołu ku górze, każden o dwie nitki wyżej od poprzedzającego. Kontury obwodzone są ściegiem długim sznureczkowym i ściegami pojedyńczemi.

N. 14. Koszyk stojący do robót, zrobiony z czterech trzepaczek trzcinowych.

Trzonki czterech trzepaczek zestawia się równo na krzyż, zbija gwoździkami w sposób wskazany na ryc. 14, i okręca sznurem jedwabnym z pomponami. Na koszyk łączy się trzepaczki w najszerszem miejscu u dołu drucikiem, a ku górze związuje sznurami z pomponami. W środek daje się woreczek atłasowy przymarszczony. Z wierzchu można koszyk umalować lakierem złotym.

N. 15. Szkatułka okuta mosiędzem i ozdobiona metalowemi guziczkami.



N. 1. Ubranie domowe z upięciem à panier z jednego boku. Patrz ryc. 3. Wymiar brytów upięcia damy w następnym N-rze.

N. 2. Ubranie spacerowe z vêtement. Plecy patrz rycinę 51 w N-rze 49.

N. 3. Ubranie domowe z upięciem à panier. Patrz ryc. 1.

Szkatułka mająca 14 cent. wysokości, 30 cent. długości a $15\frac{1}{2}$ szerokości, bejcowana na kolor brązowy, albo jak na modelu do ryc. 18 oklejona kolorowym pluszem, wyklejona była wewnątrz papierem szafirowym w złoty deseń. Okucie z blachy mosiężnej albo stali, mające $1\frac{1}{2}$ i $2\frac{1}{2}$ cent. szerokości, z brzegów wycięte w ząbki, dane było na wieku 3 cent. wysokiem dwa razy wzdłuż i wszerz, w odstępie 3 cent. od brzegów. Oprócz takiego samego okucia na ściaach szkatułki, na spojeniu brzegów dane listwy $1\frac{1}{2}$ cent. szerokie, z gładkiemi brzegami, tylko w końcach ładnie wycięte, mające z przodu i z tyłu po 10, a z boków szkatułki po 7 cent. długości. Pasy okucia zachodzą na dno szkatułki i na spodnie brzegi wieka na $3\frac{1}{2}$ cent. długości. Do przybicia okucia i zarazem do ozdoby służą goździki złocone i srebrzone, których kształty wskazuje ryc. 18, z takich większych i mniejszych goździków, ułożona gałązka kwiatów na ścianie frontowej pod dziurką od klucza.

N. 19. Paletocik, berecik i mufka, dla małej dziewczynki.

Całe ubranie zrobione było z białego i brązowego materyału naśladującego baranki krymskie. Przy plecach paletocika na wcięciu w stanie dodaje się na fałdy złożone od spodu; między przody wstawiona jest z białego materyału część fałdowana, zapięta z boku, z karczkiem i przepięciem brązowem. Mankiety i kołnierz stojący biały; kołnierz wykładany z ranwersem brązowy. Mufka biała z obłożeniem brązowem podszyta atłasem i ozdobiona pomponami; róg białego denka beretu spuszczony na bok, ozdobiony kwastami jedwabnemi.

N. 20. Kosz na papiery w kształcie trąbki, ozdobiony malowaniem.

Obok oryginalnej formy kosz odznacza się łatwością odrobienia. Materyał stanowi kawałek sztywnej popielatej tektury, trzymającej 69 cent. w kwadrat, pomalowany z obydwóch stron w duże liście, sposobem wskazanym na ryc. 20, farbą brązową, rozrobioną niebardzo gęsto angielską farbą *gold-paint.* Dolny róg tektury ścięty jest do 9 c. szerokości, w bocznych brzegach tektury zacząwszy $2\frac{1}{2}$ cent. od góry, przebija się dziurki w odstępach $4\frac{1}{2}$ cent. na które brzegi są zesznurowane sznurem ze szneli oliwkowej i nitki złotej. Brzeg górny z prawej strony oklejony jest torsadką z wełnianej oliwkowej szneli. Do przyozdobienia służą kokardy z $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej wstążki brązowej, ponsowej i piaskowej, oraz pompony w takich samych kolorach.

N. 21. Mufka pokryta koronką. Model kroju na ryc. 26.

Lekko podwatowany kawałek atłasu, mający 80 cent. długości, 18 cent. środkowej a 13 w brzegach szerokości, zeszyty w kółko, pokrywa się koronką Chantilly, sposobem wskazanym na ryc. 21 oraz znakami na ryc. 26. Od 1—28 trzeba koronkę sfałdować, od dwukropka do dwukropka zaszyć w pukiel, którego róg ozdobić kokardą ze wstążki, drugi pukiel zaszyty od gwiazdki do gwiazdki, zdobi drugą połowę mufki. Brzegi koronki przymarszczone i przyfałdowane przyszyte są przy otworach mufki. Kokarda ze wstążki i gałązka czarnego dżetowego ostu dopełnia przyozdobienie.

N. 23—24. Paletot wcinany. Krój jak do ryc. 1 w N-rze 46.

Małą zmianę zachodzącą w kroju z powodu zapięcia z boku, łatwo dopasować na formie. Model był z brązowego sukienka, na brązowej jedwabnej lekko podwatowanej podszewce, którą zastąpić można futrem; liczył z przodu 135, z tyłu 148 cent. długości; na fałdy krajane przy plecach naddaje się po 28 cent. na szerokość. W środku z tyłu u dołu dany rozporek 62 cent. długi. Ozdobę paletota stanowi kołnierz skunksowy z tyłu 18, na ramionach 15, z przodu 24 cent. szeroki i przedłużony do 95 cent. nakształt boa, spuszczonego brzegiem zapięcia z boku, a poniżej wcięcia stanu, podług ryc. 23 przepięte szmuklerską agrafką. Stojący kołnierz paletota



N. 4. Połowa zęba do lambrekiny ryc. 1 w N. 48. Haft sznelą.

5½ cent. szeroki, pokryty jest oddzielnym kawałkiem futra. Mankiety 7 cent. szerokie; mufka skunksowana.

N. 25. Serwetka podłużna. Patrz r. 16-17.

Rycina 25 przedstawia w maleńkim formacie serwetkę do której część deseniu w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 17. Osoba umiejąca rysować z łatwością podług tych rycin ułoży sobie całość deseniu. Model odrobiony na dość grubem płótnie liczył 180 cent. długości a 42 szerokości; w około brzegów w odstępie 7 cent. wyciąga się 27 nitek na kratkę ażurową, wiązaną podług ryciny 16; brzegi obrzuca się lub odzierguje żółtą filozelą. Na tle serwetki wyszyty deseń grubym jedwabiem (r o p e silk); kielichy kwiatów, listki i gałązki wyszyte są znanym ściegiem sznureczkowym podwójnym, kolorem żółtawo oliwkowym, kwiaty zaś ściegiem płaskim krzyżowanym, naprzemian jasno i ciemno heliotropowym. Brzegi skończonej serwetki oszyte są szlakiem z materyi oliwkowej która przyszyta z wierzchu, wywinięta jest pod spód i stanowi podszycie szlaczku z kratki ażurowej.



N. 5. Okrycie krótkie naszyte perełk. Patrz r. 8 i 9.

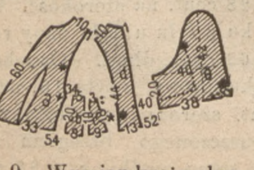


N. 6. Kapotka z piórek. Patrz przód ryc. 5.

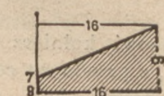


N. 7. Paletocik krótki weinany wyszyty sutaszem. Krój patrz ryc. 21—22 w N-rze 47.

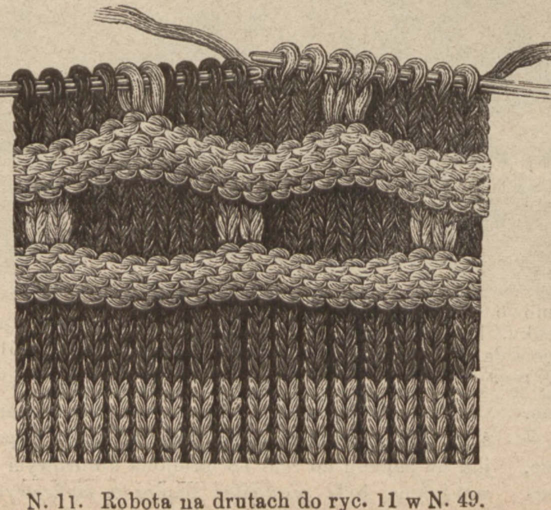
N. 8. Okrycie naszyte perełkami. Patrz r. 5 i 9.



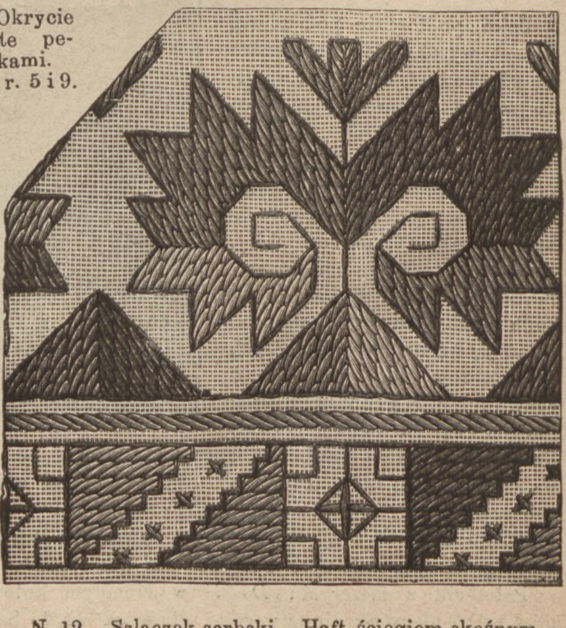
N. 9. Wymiar kroju okrycia ryc. 5 i 8.



N. 10. Wskazanie kroju czepka ryc. 46 w N. 49.



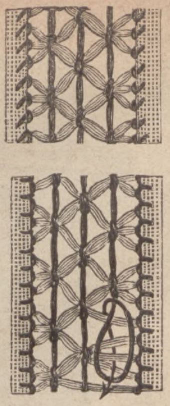
N. 11. Robota na drutach do ryc. 11 w N. 49.



N. 12. Szlaczek serbski. Haft ściegiem skośnym.



N. 13. Wyszycie do sukni ryc. 22 w N-rze 49.

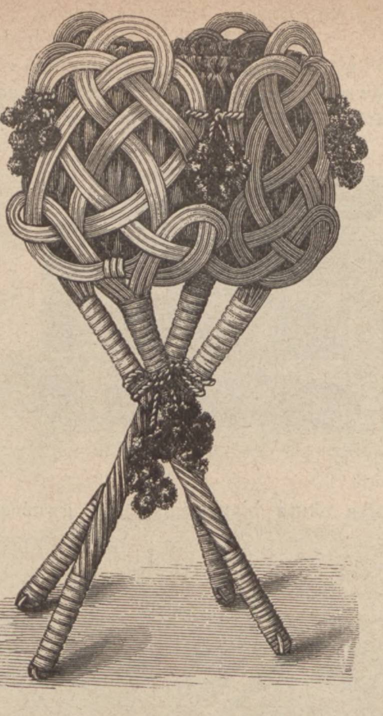


N. 16. Lewa i prawa strona szlaczka z kratki ażurowej, do serwety podłużnej ryc. 25.

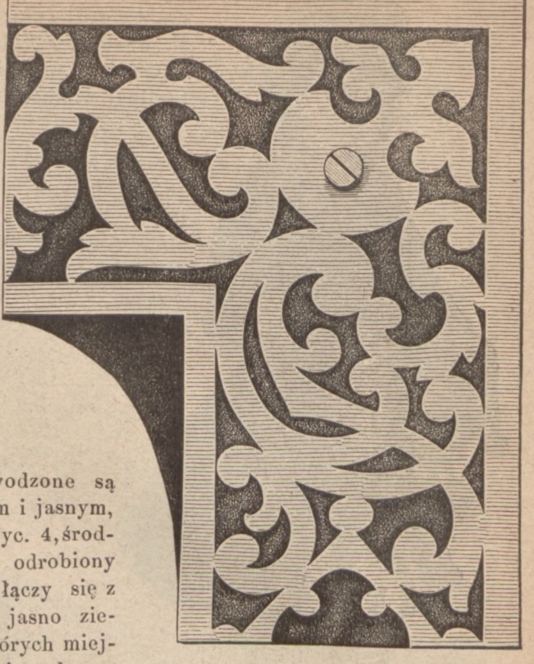
Opis do N-ru 49.

N. 1. Lambrekina. Haft sznelą patrz r. 4 w N. 48.

Służyć może do poduszki na okno, jako zakończenie przykrycia na poręcz sofy, do ozdoby skrzynki na drzewo do kominka, do kosza na papiery lub roboty i t. p. Połowę efektownege a łatwego do wykonania deseniu daliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 4 w N-rze 48; tło na modelu stanowiło sukno kawowego koloru, na którem trzeba wyrysować deseń, wycinając tło starannie po narysowaniu lub po skończeniu haftu. Gruba wełniana sznela koloru sukna przedzielona środkiem nitką złotą, służy do obwodzenia konturów, zaś powierzchnia deseniu wyszyta jest włóczką hamburgską koloru szneli, w niektórych figurach ściegiem płaskim, w innych ściegiem skośnie krzyżowanym, przeszytym nitką złotą. W górnej połowie zęba, kontury obwodzone są kolorem ciemnym i jasnym, jak to widać na ryc. 4, środkowy trójlistek odrobiony kolorem pawim, łączy się z arabeską koloru jasno zielonego. W niektórych miejscach figury deseniu połączone są słupkami krętemi z włóczki brązowej. Lambrekinę skończoną podszywa się



N. 14. Kosz do robót złożony z czterech trzepaczek.



N. 15. Ramka wycięta z blachy, do ryc. 55 w N rze 49.



N. 17. Haft kolorowy na płótnie do serwety podłużnej ryc. 25. Patrz ryc. 16.

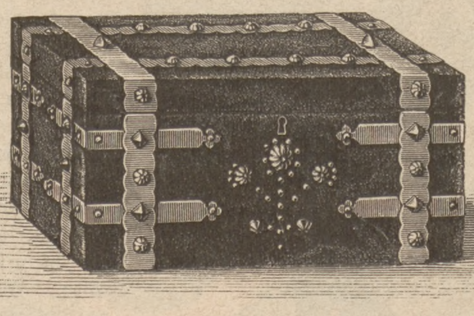
jasnym atłasem, podszewkowanym satynką; brzegi oszyć można sznurem jedwabnym.

N. 2—4. **Serweta** z kolorowej siatki gipiurowej. Obydwie próbki ryc. 2 i 3 przedstawiają w naturalnej wielkości rozmiar oczek siatki i grubość użytych do roboty mocnych grubych nici; model liczył w kwadrat 65 oczek. Skończoną siatkę na serwetę rozpina się w krosnach, wyszywa matowe części deseniu ściegiem zwanym *point de toile*, klarowniejsze ściegiem *de reprise*, odzierguje ząbki brzeżne a następnie zwierzchnią stronę siatki pozłaca. W tym celu trzeba proszek złoty rozmieszać w wodzie z gummą rozpuszczoną i tak przygotowanym płynem smarować pendzelkiem siatkę w ten sposób aby na deseniu osiadła równo powierzchnia złota. Po dokładnem wyschnięciu serwety, zostawiając ją w krosnach, obszywa się w dalszym ciągu złotym kręconym bajorkiem kontury figury środkowej i liście figur narożnych, zaś arabeski między narożnikami obwodzi bajorkiem miedzianym, kt rym także otoczony wązki szlaczek (patrz ryc. 2). Złoty bajorek użyty przy małych gwiazdkach zapełniających ząbki, wyszytych podług ryc. 3.

(*D. c. n.*)



N. 19. Paletocik, berecik i mufka dla małej dziewczynki.



N. 18. Szkatułka okuta blachą i nabijana gwoździkami.



N. 20. Kosz w kształcie trąbki do papierów, zdobny malowaniem.



N. 23. Paletot długi wcinany. Patrz ryc, 24. Krój jak do ryc. I w N. 46.



N. 21. Mufka pokryta koronką. Patrz ryc. 26.



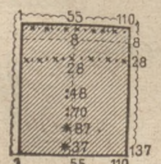
N. 22. Sukienka dla dziewczynki. Patrz rycinę 27 w N 49.



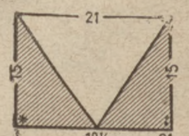
N. 24. Paletot długi wcinany. Patrz przód ryc. 23.



N. 25. Serweta podłużna. Haft kolorowy na płótnie. Patrz ryc. 16—17.



N. 26. Wymiar kroju mufki ryc. 21.



N. 27. Wskazanie kroju chusteczki ryc. 40 w N rze 49.